

Bywają lepsze i gorsze dni. Jak to w życiu. Niejednokrotnie nasz stan wewnętrzny odzwierciedla odpowiednia aparycja. Jednak to, co następnego ranka zobaczył w lustrze profesor, było, bądź co bądź, rzeczą niepojętą. Niby ta sama zielona, niewyspana gęba, ale coś było nie tak. Ta zieleń jakaś trochę inna. A może to zwidy? Przejechał dłonią po podbródku i poczuł idealną gładkość. Niczym pupcia niemowlęcia. Jak to możliwe, skoro jeszcze nie zdążył się ogolić? No dobrze, może zdążył, tyle że tego nie pamięta, bo na przykład myślał o bozonach. Uznajmy, że przytoczone spostrzeżenia można jeszcze, w jakiś sposób, racjonalnie wyjaśnić. Ale, na grób Einsteina, skąd wzięła się ta para czulek wyrastających z czoła?! I to jeszcze zakończona kulistymi zgrubieniami, jakby tego było mało. Rudolf poczuł, jak ogarnia go przemożna ochota, by wybuchnąć histerią, lecz panował nad sobą ostatkiem sił. Jak on teraz wyglądał? Jak on się w pracy pokaże w takim stanie?

— Niech no ja dorwę tego akwizytora! — wrzasnął.

Dziś w nocy wypróbował ów cudowny preparat na porost włosów. Wykonał wszystko dokładnie zgodnie z instrukcją. A że był człowiekiem pedantycznym, o pomyłce nie mogło być mowy. Po prostu gówniarz dał nie ten specyfik.

Poszedł do toalety. Wtedy przeżył największy szok. Stracił coś więcej niż tylko zarost. Dużo więcej. Jednak po krótkiej dezorientacji ustalił, iż teraz mocz oddaje się lewym kolanem.

Podczas śniadania wykrył problem z przełykaniem. W gardle, zamiast standardowych dwóch dziurek, były trzy. „Preparat poważnie naruszył mój materiał genetyczny — pomyślał, oglądając w lustrze jamę ustną. — Co teraz zrobić? Może to jakaś dziwna choroba, na którą współczesna medycyna zna lekarstwo?”. Po głowie chodził mu pomysł udania się do szpitala, jednak został unieważniony, gdy Rudolf doznał olśnienia. Bo przecież ta zielona facjata z czułkami nie jest zupełnie obca. Przynajmniej nie na poziomie podświadomości. Wystarczyło wrócić mentalnie do pewnych wydarzeń, by, mimo bardzo niedoskonałej percepcji, jaką się wtedy posiadało, skonstatować, iż akwizytor mógł mieć podobne udekorowanie czoła. Mało tego! Kilka lat temu wuj Arnold rozповідаł, że na Ziemi, oprócz nas, żyje jeszcze jedna rasa istot inteligentnych. Oczywiście nikt mu nie wierzył. Jego występ został uznany za zabawny i nagrany na wideo.

Rudolf pobiegł na strych. Wyciągnął stare kartony, po czym zaczął wyrzucać z nich różne rupiecie. Kwadrans później znieruchomiał. Oto na dnie jednego z pudeł leżała owa zapomniana przez świat kaseta. Tryumfalnie pochwyił ją w dłoń i zleciał do salonu, by puścić nagranie.

Na ekranie ukazała się wątła, uśmiechnięta postać w okularach o wyjątkowo grubej i niemodnej oprawce. Jej czarna grzywa przypominała bocianie gniazdo. Do tego koszula w kratę niedbale wychodząca z podartych džinsów. Z wyglądu można by przypuszczać, że był to typ intelektualisty. W rzeczy samej. Wuj Arnold wykładał stosunki międzynarodowe (a nieoficjalnie również międzyplanetarne).

— Chcecie, żebym opowiedział o moim sensacyjnym odkryciu do kamery? — pytał. — Niech zatem tak będzie. Zapamiętajcie sobie, co powiem. Ha, ha! — jego głośny śmiech miał w sobie coś z radości i zuchwałości. — Nie mam dowodów, ale

na Ziemi, równoległe z nami, koegzystuje inna forma istot inteligentnych. Jak wyglądają? Proszę bardzo, zrobiłem portret pamięciowy.

Odsunął się, by kamera mogła sfilmować ekran komputera. Obraz przedstawiał zieloną istotę z parą czulek. Kamera ponownie skierowała się na sylwetkę Arnolda.

— Trafiłem do ich świata przez przypadek. Jako jeden z nich — podczas wypowiedzania tego zdania wykonywano zoom optyczny. Najpierw cały kadr wypełniła głowa mówcy. Po chwili pojawił się majestat rowków, pryszczy oraz kaszek. Ostatecznie tłem nagrania stało się oko, a głównym bohaterem była tkwiąca w nim rzęsa. Zaraz potem Arnold raptownie zmalał do poprzednich rozmiarów. — Oni także myślą, że są sami. Teraz mi nie wierzycie, ale na wszelki wypadek narysowałem mapę, jak tam trafić. To niedaleko. Bliżej niż wam się wydaje.

Kamera ponownie sfilmowała ekran komputera. W tym momencie Rudolf zrobił stop-klatkę. Przerysował mapę z najdrobniejszymi detalami i puścił nagranie dalej. Okazało się, że to koniec. Mapa była ostatnią rzeczą, o której wuj nie omieszkał poinformować.

Rudolf chwycił słuchawkę telefonu. Wykręcił numer. Odpowiedziało mu jedynie pipanie.

— Zapomniałem — stuknął się w głowę. — Przecież wuj Arnold zmarł na raka dwa lata temu.

Zatem mapa była jedynym punktem zaczepienia. Mógł trafić do ich świata i spróbować znaleźć antidotum. A może nawet samego sprawcę tego całego cyrku? „Jak się nie uda, to po prostu wrócę — myślał. — Nic na tym nie tracę”. Jeszcze raz chwycił za słuchawkę i wykręcił numer.

— Dzień dobry, pani Mazurska — powiedział do telefonu. — Jestem chory. Przez najbliższy tydzień nie będzie mnie w pracy. Proszę odwołać zajęcia ze studentami i wszystkie moje spotkania. Dziękuję.

Musiał jeszcze poczekać do zmierzchu. Czuł się trochę jak wilkołak. Nie chciał, żeby przypadkowe osoby widziały go w tym stanie. W takich niezręcznych chwilach cieszył się, że jego najbliżsi sąsiedzi mieszkają dwa kilometry stąd. Już sobie wyobrażał małomiasteczkową scenę, jak nienawistni prostacy ganiają odmienia z widłami. Gdyby miał chociaż jakieś właściwe na wiosnę nakrycie głowy... Zresztą nawet gdyby, to i tak zostałaby kwestia tego okropnego zielonego koloru. Pokładał jeszcze nadzieję w operacjach plastycznych. Jednak perspektywa trafienia pod skalpel przyprawiała go o gęsią skórę (wskutek obecnego braku owłosienia jego gęsia skórka była czysto wymaginowana, acz chciał wierzyć, że ją ma). Gdy tylko ostatnie promienie słońca zostały odcięte przez linię lasu, przeniósł do samochodu niezbędne rzeczy: trochę prowiantu, wody, narzędzia nawigacyjne, latarkę oraz ubrania. Oczywiście najważniejsza była mapa, o której prawie zapomniał. Według tego, co narysował wuj Arnold, wejście do świata nieznanymi form inteligentnych mieściło się mniej więcej przy ogródku panny Stokrockiej, czyli po drugiej stronie miasta.

Jednak mapa została wykonana w sposób bardzo charakterystyczny. Tak niejednoznaczny, że trzeba dobrze znać Arnolda, by się w niej połapać i domyślić znaczenia niektórych kluczowych symboli. Rudolfowa znajomość wuja najwyraźniej

nie wystarczała. Po godzinie krążenia po Dzielnicy Tulipanowej zaczynał mieć tego dość.

— To jakaś kpina! — powiedział do siebie. — Wuj Arnold przewraca się pewnie w grobie ze śmiechu. Wreszcie kogoś nabrał.

Lecz skoro to tylko żart, to skąd wiedział, jak oni wyglądają? „Przypadek — odpowiedziały myśli profesora. — Mało prawdopodobne, ale możliwe”.

Wydawało się zatem, że to koniec. Pozostała możliwość odwiedzenia lekarzy.

„Zasięgnę porad najwyższej klasy specjalistów — myślał. — Nieważne, ile to będzie kosztowało. Wrócę do dawnej postaci”.

Nagle silnik zgasł. Rudolf przekręcił kluczyki w stacyjce. Bezskutecznie. Żadnej reakcji ze strony maszyny. Jakby stała się tylko pustą obudową. Rzecz zdumiewająca. Stary trabant jeszcze nigdy nie zawiódł. Wiernie służył przez parę dobrych lat. A teraz co? Czyżby jednak natrafił na jakąś anomalię? Wyszedł z pojazdu, zajrzał pod maskę i nic! Wszystko na swoim miejscu. Wydawało się, że żadna usterka nie mogła wchodzić w grę. Niestety zapomniał okularów, więc dokładne oględziny nie były możliwe.

Po jakichś dziewięciu minutach zrezygnowany podniósł głowę spod maski. Świtało. Miasto gdzieś znikło. Zamiast niego szumił bujny las.

— Witam — odezwała się zielona istota z czułkami.